

# Na Oceanie Atlantyckim





HENRYK SIENKIEWICZ

## Na Oceanie Atlantyckim

Pod wieczór dnia 23-go siedliśmy na okręt „Germanicus”, który miał nas zawieźć do Ameryki. W poprzednim liście wspomniałem, że jest to jeden z najpotężniejszych parowców linii „White Star”, utrzymujący komunikację między Liwerpoolem a New-Yorkiem. Fale Morza Irlandzkiego zaledwie cokolwiek kołysały olbrzymim statkiem, tem bardziej, że i pogoda była piękna. Po dwu lub trzygodzinnej jeździe ściemniło się. Brzeg irlandzki, wzdłuż którego płynęliśmy na południe, coraz bardziej osłaniał się mgłą i rozpląwał w ciemnej dali, na koniec zmałował się zupełnie z morzem, niebem i nocą — i zniknął. Chwilami tylko połyskiwały czerwone i zielone światła latarni, które zdawały się palić w powietrzu; wreszcie i one pogrzały się w ciemnościach, a naokoło białeły tylko zapie-nione szeregi grzbietów fal, idących jedna za drugą z nieskończoności.

Nazajutrz rano przybyliśmy do *Queenstown*’u, portu leżącego na samym południowym cyplu Irlandji, skąd już prosto na zachód mieliśmy się puścić do New-Yorku. *Queenstown* jest to ogromny port, a zarazem, jak mnie zapewniali z dumą Anglicy, niezdojta forteca, chociaż sądzę, iż niezdojta jest głównie dlatego, że nikt jej nigdy nie zdobywał, a zatem i nie zdobył, na mocy czego nasz *Ozorków* również za niezdojną warownię poczytywaćby można.

Ale jak pomiędzy naszymi miastami każde ma jakąś osobliwszą sławę, skutkiem której mieszkańcy ich mówią: „u nas, panie, w Płońsku”, „u nas w Kozienicach”, lub: „u nas w Przytyku, to, panie, znajduje się to i owo” — a mówią z taką dumą, jak gdyby: *chez nous à Paris*<sup>1</sup> — tak i *Queenstown* odznacza się tem, że stanowi wrota Oceanu. Tu kończy się Morze Irlandzkie, a zaczyna się Atlantyk, i z tego powodu prawie wszystkie okręty, idące z Anglii do Ameryki i odwrotnie, mają tu swój kilkogodzinny przystanek. Nasz okręt również zarzucił opodal od brzegu kotwicę, i potężnym gwizdaniem oznajmił miastu swoje przybycie. Mały parowiec przywiózł nam nowych pasażerów, a po największej części emigrantów, którzy cisnęli się na pokład z żonami, z dziećmi, z pakunkami, z biedą i z nadzieją, że ową biedę utopiają w morzu w czasie podróży. Rozpoczęło się wyładowywanie pakunków i towarów z małego statku na wielki, przyczem rzucano pakami i kuferkami tak, iż zdawało się, że będą gwałtu krzyczały. Na małym parowcu znajdowało się także kilku przekupniów. Jakaś młoda dziewczyna z ładnymi niebieskimi oczyma i koszykiem pomarańcz w ręku, wykrzykiwała wniebogłosy pochwały swego towaru, odpowiadając jednocześnie na dowcipy, jakie jej razem z szylingami przesyłano z wysokiego naszego statku, który przynajmniej o trzy piętra przenosił przybyłego pigmejczyka. Był to widok bardzo ożywiony: majtkowie, wypakowujący kufry krzyczeli i klęli, dziewczyna rzucała zdołu gradem swoje pomarańcze, nie pytając się, czy ich kto chce czy nie chce, młodzi zaś dżentelmeni rzucali jej pieniądze, za którymi latała po całym pokładzie, śmiejąc się i tańcząc. Czasami ciskano jej i skórki pomarańczowe, które chwytala z równie dobrym humorem i wesołością.

Wreszcie mały parowiec wysadził wszystkich swoich podróżnych i pakunki, poczem zabrał listy z naszego statku, wrzasnął wniebogłosy i odpłynął. Nie było podróżnego, któryby nie przesłał listu na ląd; kto bowiem puszcza się wiosenną porą na Ocean, nigdy nie może powiedzieć, czy będzie jeszcze oglądał tych, których żegnał; każdy więc pragnie przesłać choćby jeszcze jedno małe: *addio*, „pamiętaj, póki nie zapomnisz!” lub: „pisuj do mnie na Berdyczów!” Wszystkie twarze były poważne i uroczyście, a kto nawet nie

<sup>1</sup>*chez nous à Paris* — u nas w Paryżu (franc.). [przypis autorski]

miał powagi i uroczystości w duszy, ten starał się ubrać w ich pozory. Ludzie lubią takie położenia, jakie w zwyczajnym życiu widuje się tylko w operach. Zresztą, puszczając się na Ocean, każdy głupiec wydaje się samemu sobie poetycznym i co najmniej Child-Haroldem<sup>2</sup>, a zatem:

Bywaj mi zdrowy, kraju kochany!

Istotnie, świsnęły wiatry, zaszumiały bałwany, zaświegotało morskie ptactwo; „Germanicus” podniósł kotwicę i po chwili chwiały się już na ogromnych falach oceanu. Podróżni poczynają biegać po całym statku, zaglądać wszędzie, przypatrywać się każdej jego śrubce; po czym upewniają się wzajemnie, że niemasz żadnego niebezpieczeństwa. Każdy mniej więc w strachu, a wszędy słychać następujące rozmowy:

— Ależ to statek, daj go katu!

— Ho! panie, on bije wszystkie Cunary<sup>3</sup>.

— Na tej linii nie było jeszcze żadnego wypadku.

— I pewno nie będzie: mamy przewyborną pogodę.

— Widziałeś pan sternika? Stary wilk? co?

— Mówią, że i nasz kapitan bardzo doświadczony marynarz. On podobno woził królową.

Nieprawda, nikt nie mówił, że nasz kapitan jest doświadczony marynarz i że woził królową, ale zadający to pytanie jest w strachu, zadaje je więc dlatego, że ma nadzieję, iż mu kto na nie odpowie twierdząco. Zresztą pogoda istotnie trwa, statek kołysze się niewiele, wszyscy więc nabierają zaufania, niektórzy nawet objawiają głośno, że gotowi są zrozumieć wszystko, ale nie rozumieją obawy morza.

Statek swoją drogą się kołysze, tylko jest tak wielki, iż tego nie czuć. Stojąc jednak ku tyłowi okrętu, można doskonale dostrzec, jak przód jego to zsuwa się po pochyłości wodnej nadół, to znowu podnosi się ociężałe dogóry. Za statkiem leci kilkanaście mew, które raz wraz rzucają się na wodę, gdy z kuchni okrętowej wyrzucą coś przez okno.

Około godziny pierwszej po południu, w salonie jadalnym i po korytarzach, gdzie są kajuty, odzywa się barbarzyński głos *gongu*, czyli *tam-tama*, zwołujący pasażerów na *lunch*<sup>4</sup>. Siadamy do stołu. Tu znowu rozpoczyna się dla mnie bieda z angielszczyzną. Nie rozumiem jadłospisu i nie wiem, co sobie kazać dać jeść. Przychodzi steward, czyli lokaj okrętowy. Jest to stara i wyschła jak wosk mumja, ubrana we frak i biały krawat. Mumja ta staje nade mną, zamyka oczy, otwiera usta, pokazuje żółte zęby i zaczyna coś mówić, a raczej skrzypiec mechanicznie, jak blaszana chorągiewka, którą porusza wiatr. Niewiele myśląc, pokazuję jej na karcie jakąś potrawę, której nazwa angielska podobała mi się więcej od innych z powodu swego brzmienia. Mumja odchodzi, następnie powraca i przynosi mi morele. Chciałem zupy, wszyscy jedzą zupę, ale cóż robić? Zabieram się do moreli.

Po morelach nieubłagany los zsyła mi ser, po serze pomidory, po pomidorach tartą bułkę. Zjadam to wszystko; na deser zaś dowiaduję się, że siedzący koło mnie podłotek umie po francusku i że mógł mi służyć za tłumacza w moich utrapieniach. Zamawiam więc sobie jego pomoc i łaskę na przyszłość, poczem lunch kończy się i wychodzimy na pokład.

Już wstając od obiadu, uczulem, że wiatr musiał się zwiększyć. Idąc wzdłuż stołów ku drzwiom tego ogromnego salonu, oświetconego przynajmniej trzydziestu okrągłymi oknami, trzeba się było niekiedy chwytac krzesel, które są przymocowane do podłogi, ale mogą się obracać. Na pokładzie zastaję już liczne grono podróżnych, którzy przypatrują się sobie wzajemnie i próbują rozmawiać, oczywiście nie o czym innym, tylko o pogodzie, a rozmowa ta na statku bynajmniej nie jest tak cczą i bląhą, jak na lądzie.

Ale tymczasem statek zaczyna się coraz lepiej kołysać. Po upływie pół godziny jedna z dam, która dotąd rozmawiała najwesелей, nagle wstaje, spogląda obłąkanemi oczami naokoło, mówi przygnębionym głosem: „O Boże! Boże!”, poczem zbiega szybko po schodach na korytarz prowadzący do kajut. Za nią wkrótce podąża druga i trzecia, po nich mężczyźni; pokład staje się coraz pustszy; na pobojuwisku zostaje tylko kilka

<sup>2</sup>*Child-Harold* — bohater poematu Byrona — romantyczny poszukiwacz przygód. [przypis autorski]

<sup>3</sup>Nazwa linii okrętowej. [przypis autorski]

<sup>4</sup>*lunch* — śniadanie (ang.). [przypis autorski]

osób trwalszej natury, między którymi liczę się ja, mój towarzysz, jakiś doktor z rudymi faworytami i młoda para amerykańska: mąż podobny do Otella, żona do anioła.

Zawieramy ze sobą znajomość. Na szczęście, i doktor, i młoda para umieją po francusku. Oczywiście rozmawiamy tylko o morzu i przypadłościach żeglugi. Po niejkiej chwili Otello pyta mnie:

- Pan dużo podróżował po morzu?
- Jadę pierwszy raz, ale dotąd nic mi nie jest. A pan?
- O! ja znam się z morzem, i moja żona także.
- Ależ zaczyna się kołysać nie na żarty!
- To mnie mało obchodzi — odpowiada Otello, a po niejkiej chwili dodaje:
- Myślę jednak, że musiałem zjeść coś niezdrowego...
- Istotnie uważam, że pan pobladł.
- O! ale to przejdzie. Tu na pokładzie najlepiej; ani myślę schodzić na dół!
- Noc będziemy mieli piękną?
- Bardzo piękną... Niezawodnie zjadłem coś niezdrowego.
- Świeże powietrze pana wyleczy.
- Jednakże...

Tu Otello składa tak niezbite dowody, że musiał zjeść coś niezdrowego, iż nie pozostaje mu nic, tylko zejść nadół i położyć się do łóżka. Na pokładzie zostaje nas troje. Poczynam jednak czuć zawrót głowy, ale zapalam cygaro, które przynosi mi ulgę. Doktor rozmawia z moim towarzyszem, ja z młodą lady. Uważam jednak, że zaczynam głupieć, skutkiem czego rozmowa nie klei się, jakkolwiek młoda lady jest bardzo ładna. Tymczasem zaczyna ściemniać się; majtkowie ściągają wielki żagiel na przodzie okrętu i, ciągnąc w kilkunastu linę wołają żalonym głosem: „Ooo! ho!”

— Pójdziemy zobaczyć — mówi do mnie młoda lady.

Idziemy tedy zobaczyć; ale w pół drogi lady zatrzymuje się i spogląda na mnie tak szczególnym wzrokiem, że krew rzuca mi się do twarzy. W jej oczach widać czułość i omdlenie, policzki jej bledną i rumienią się, chce coś mówić i jakby nie śmie, ale przewraca oczyma, jak heroina na scenie. Boże wielki! co to się znaczy? myślę sobie...

Czyżby?... ale nie, to byłoby zbyt nagle, zbyt po amerykańsku. Jednakże!

- Panie... — szepcze słabnącym głosem młoda lady...
- Pani! dwie dusze jak nasze...
- Oh! oh! — przerywa młoda dama.
- Dwie dusze jak nasze...
- Śliwek, śliwek jak najprędzej!

Wiadro zimnej wody, wylane na głowę, nie ostudziłoby mnie tak skutecznie, jak to jedno małe słowo: „śliwek!” Jeszcze w Liwerpoolu wdowa Clynton mówiła mi, że najdzielniejszym lekarstwem na chorobę morską są suszone śliwki. Więc to ten powód? Oby Ocean pochłonął wszystkie śliwki z obu półkuli ziemskich! Ja myślałem... Ale cóż robić? Biegnę tedy do stewarta po śliwki i po chwili wracam z pełnym talerzem: młodej lady nie zastaję już jednak na pokładzie.

Tymczasem chiński *tam-tam* daje znać, że czas na obiad. Karmią nas wspaniale, ale do obiadu nie siada już ani pół tyle osób co do południowego lunchu. Mojego podlotka nie ma także. Po prawej stronie ode mnie siedzi natomiast jakiś kapitan okrętowy, którego statek rozbił się na brzegach Anglii. Jest to człowiek dwa razy grubszy od zwykłego chrześcijanina; ale ta bryła loju mówi nadzwyczaj cienko i je tyle, że połowa tego wystarczyłaby dla całej załogi okrętowej. Rzekłbyś: jest to waliza, służąca na skład żywności. Apetyt ten jedna mu szczególniejsze poważanie w oczach naszej starej mumji, która usługuje mu dwa razy staranniej, niż mnie.

Obiad trwa w milczeniu i kończy się w milczeniu, przerywanem tylko skrzypieniem filarów, podpierających sufit *dining-room'u*<sup>5</sup>, i służących zarazem za szafy do książek; czasem znów fala z loskotem zalewa okna, to z prawej, to z lewej strony salonu. Wszystkie twarze są smutne i blade. Siedzący naprzeciwko kapitana jakiś dżentelmen uderza szklaną o stół i mówi:

— Pomorek na taką pogodę!

<sup>5</sup>*dining-room'u* — jadalnia (ang.). [przypis autorski]

— Pogoda jest piękna — piszczy cienkim głosem waliza — ale w nocy lub jutro rano będzie burza.

Potem napęlnia usta połową ogromnego homara, i twarz jej przybiera wyraz nieopisanego szczęścia.

Uważam, że na dole, w salonie, daleko mi się więcej w głowie kręci niż na górnym pokładzie; uważam także, iż umysł mój z każdą godziną tępieje coraz bardziej; dlatego natychmiast po czarnej kawie wybiegam znowu na pokład. Ciemno jest już zupełnie. Silny wiatr łopocze w żagle, na całym okręcie słychać żalosne „Ooo — ho!” majtków. Ocean zaś szumi złowrogo. Z mroku i z oddalenia dobywają się jakieś, jakby ogromne a smutne jęki i westchnienia. Fala za falą uderza ciężko o wysokie boki statku, który zdaje się stękać, ale płynie naprzód. Jest to widok wspaniały, choć złowrogi. Ta ciemność i nieskończona przestrzeń wodna ma w sobie coś mistycznego. Umysł przeraża się ogromem, który go otacza, i wiję w sobie; dusza odczuwa wrażenia, ale niemi nie włada. Chwilami zdaje mi się, że w ciemności ktoś zawołał na mnie po imieniu. Gubię wzrok w przestrzeni i próbuję myśleć i wspominać, ale nie klei się: własne moje myślatka wydają mi się rozproszone, błahe, zwietrzałe i tak marne, jak nigdy; na stosunki, którymi zajmowałem się jakby wielkimi sprawami w rodzinnym mieście, mimowoli spoglądam niby przez odwrotny koniec lunety. Przychodzi wreszcie zapomnienie i utrata świadomości: zlewam się z otoczeniem i przestaję istnieć odrębnie. Dla zmęczonych ludzi ma to taki urok, jak bardzo głęboki sen albo jeśli kto nawet woli: śmierć. Żalosne „Ooo — ho!” majtków rozlega się ciągle: ciągną tam znów jakieś liny, a w pomroku widzę czarne ich sylwetki, pochylające się i prostujące jednocześnie. Wielkie kominy zaczynają wyrzucać deszcz czerwonych i złotych iskier; na przednim maszcie wiszą latarnie, które to zniżają się, to podnoszą w takt ze statkiem. Wnętrze okrętu pełne jest światła. O godzinie dziesiątej schodzę nadół, ale po drodze wstępuję jeszcze do *smoking-room*'u, to jest do pokoju przeznaczanego dla palaczy. Kilkunastu dżentleatów siedzi tu naokoło na kanapkach pod ścianami, z nogami pozakładanymi na stół i kapeluszami ponasuwanymi na tył głowy. Niektórzy grają w karty, inni spluwają nadzwyczaj celnie i daleko w ogromne fajansowe spluwaczki, których pełno stoi na podłodze. Atmosfera zadymiona, cały zaś pokój ma pozory knajpy niemieckiej, w której ludzie dla wygody zdejmują buty. Żal mi się zrobiło mojej ciszy i samotności na pokładzie, ale wracać tam było już zbyt późno; dlatego zeszedłem do kajuty...

Kajuta nasza jest to mały pokoik, mający nie więcej, niż cztery łokcie kwadratowe przestrzeni; przy jednej ścianie przymocowane są, jedno na drugim, dwa łóżka, a raczej dwie głębokie szuflady z wysokimi bokami, które nie pozwalają wypaść śpiącemu w czasie kołysania statku; przy drugiej ścianie stoi czerwona aksamitna sofa, między sofką a łóżkiem umywalnia — i oto wszystko. Cała kabina schludna, wykwinnta nawet, ale mała. Dama, któraby, jak mówi Dickens<sup>6</sup>, wskutek skromności niewieściej spodziewała się znaleźć w kajucie tylko dwie ogromne szafy na suknie, zawiodłaby się srodze. Zaledwo tu można się obrócić, a rozbierać się inaczej niepodobna jak pokolei. Wiele osób, zwłaszcza pierwszej nocy na morzu, nie rozbiera się wcale. Istotnie, kładąc się spać doznaje się dziwnego uczucia na myśl, że pod sobą ma się niezmierną głęboką, naokoło nieprzebyte pustynię wodną; jest się na statku, który, mimo swej wielkości i mocy jest tylko piłką, rzuconą falami olbrzymiego Oceanu. Człowiek mimowoli sobie mówi: jeżeliby można postawić dziesięć za tem, że jutro się obudzę, przynajmniej dziewięć możnaby trzymać za tem, że się jutro nie obudzę.

Cóż jednak robić? Jeżeli przyplynie góra lodowa, jeżeli kocioł pęknie, zdarzy się pożar na statku, tak samo zginę ubrany jak nieubrany. Tymczasem sen skleja powieki, głowa, w której fale wstrząsały mózg przez cały dzień, cięży; idzie się zatem spać rozumując: co jutro będzie, nie wiem; że mi się chce spać, wiem.

Noc jednak przeszła spokojnie, to jest bez żadnego nadzwyczajnego wypadku. Naza-jutrz rano jednak do *breakfestu*<sup>7</sup> siadło znowu dwa razy mniej osób niż wczoraj do obiadu, a twarze były jeszcze więcej pomartwione. Jedzono tylko śliwki i kaszę jaglaną z mlekiem.

<sup>6</sup>Charles Dickens — pisarz angielski XIX w. Klasyczny przedstawiciel specyficznego humoru angielskiego. [przypis autorski]

<sup>7</sup>breakfast — śniadanie (ang.). [przypis autorski]

Statek się kołysał bardziej niż wczoraj, a poważna twarz kapitana zdawała się mówić, że będzie raczej gorzej, niż lepiej.

Wyszedłem na pokład. Dzień był ponury, szary, wietrzny. Mewy rzuciły się w powietrzu, fale zaś były rozigrane. Trudno się było utrzymać na nogach. Naokoło statku piętrzyły się takie bałwany, w jakich istnienie trudno uwierzyć. Zawsze uważałem za przesadę, gdy opowiadano mi dawniej, że fale morskie dochodzą wielkości domów; teraz przekonałem się, że istotnie jest to przesada, ale *in minus*. Otaczały nas po prostu góry wodne. Chwilami zdaje się, że cały statek razem z tobą znajduje się w bardzo głębokiej dolinie, zamkniętej górami, przewyższającymi o wiele, tak np. o dziesięć razy, szczyty masztów. Nagle dolina zaczyna się zmniejszać z przerażającą szybkością, a góry lecą ze wszystkich stron na statek, rycząc jak wściekłe. Przemykasz oczy i mówisz sobie w duchu: „Jak się macie, ryby!”, przysięgłbyś bowiem, że żadna siła ludzka nie wyrwie już statku z tego przeklętego lejka, na którego dnie zostanie pokryty warstwą wodną, grubą na kilkadziesiąt sążni<sup>8</sup>. Po chwili jednak, cóż się stało? Oto otwierasz znów oczy i widzisz się teraz na wierzchołku góry, przed tobą zaś przepaść, do której zlatujesz po linii prawie prostopadłej. W ten sposób jechaliśmy cały dzień.

— Czy to jest burza? — pytam jednego z majtków, umiałem bowiem ten frazes po angielsku.

— Nie, to nie burza — odpowiada majtek — czas jest piękny.

Przekleństwo na twoje oczy! Jeżeli to jest czas piękny, cóż wy tedy nazywacie burzą? On to nazywa czasem pięknym! Jeżeli nie utoniemy, to chyba dlatego, że ty i twoja załoga będziecie wisieć, co zaś ma wisieć, to nie utonie. Tymczasem fale zalewają nawet górny pokład, tak, że trzeba zejść nadół. Przy samych schodach spotykam doktora z rudemi faworytami, który pochyla się nade mną i krzyczy, żeby przekrzyczyć szum morski:

— *Comment ça va, monsieur!*<sup>9</sup>.

Jestem tak pognębiony, że nietylko nie odpowiadam doktorowi, ale nie mogę trafić do schodów. Nie choruję, ale czuję zawrót głowy i oglupienie posunięte do tego stopnia, że gdyby to był stan normalny mego umysłu, mógłbym odznaczyć się nawet w kółkach ultrakonserwatywnych *à tout prix*<sup>10</sup>. „Trzymałem się za coś — mówi w podobnym położeniu pan Dickens: — może to był komin od pieca, może majtek, ale może i krowa”. Ja wiem, że nie mogłem trafić do schodów.

— Patrz pan — woła doktor — ja się niczego nie trzymam, ja mogę teraz przechadzać się po pokładzie.

— Jakto? — jęknąłem — pan nie upadnie?

— *Je suis trop vieux marin pour cela!*<sup>11</sup> — odpowiedział, i w tej chwili zobaczyłem nagle jego nogi w tym miejscu, gdzie była głowa, co mi dowiodło, że nietylko przechadzać się, ale może nawet przewracać koziołki.

Prawdziwa burza rozszalała jednak dopiero wieczorem, chociaż wiatr wzmagał się przez cały dzień. Kiedy nadeszła chwila *lunchu*, położono na stołach poręcze, inaczej bowiem wszystkoby z nich pozlatywało na ziemię. Nic zabawniejszego, niż widzieć gości idących wzdłuż stołów na swoje miejsca i taczających się jak pijani. Wchodzi naprzykład jakiś pastor prezbiterjański, a może kwakier. Ale zaledwie ukazał się we drzwiach i puścił się klamki, rzuca się w największym impecie na kominek, jakby tam spostrzegł coś takiego, na co poprzednio czatował; następnie odbija się od kominka, uderza o krzesło, chybia poręcz, którą chciał uchwycić rękoma, odbija się od krzesła, wpada w objęcia jakiejś panny, porywa ją za głowę, poczem siada na podłodze, wywiesza język i poczyną pisać konającym głosem: — oj! oj!

*Lunch*, mimo przegródek i poręczy na stołach mamy tańczący, gdy bowiem statek położy się na lewym boku, wszystkie półmiski, talerze, szklanki, karafki, noże, widelce zsuwają się z brzękiem, szczękiem, hałasem i tartasem na lewą stronę, po chwili znów na prawą, i tak ciągle. Stewartowie posługują nam, chodząc w ten sposób, że tworzą z podłogą kąt ostry; zupa wylewa się z talerzy, woda ze szklanek, wino z kieliszków;

<sup>8</sup>sążeń — 1.728 metra. [przypis autorski]

<sup>9</sup>*Comment ça va, monsieur!?* — Jak się pan ma? (franc.). [przypis autorski]

<sup>10</sup>*à tout prix* — za wszelką cenę (franc.). [przypis autorski]

<sup>11</sup>*Je suis trop vieux marin pour cela!* — Jestem na to za starym marynarzem (franc.). [przypis autorski]

panie poczynają krzyczeć, panowie kląć bez względu na obecność dam; słowem, powstaje nieopisane zamieszanie, i połowa osób opuszcza stół przed czasem.

Obiad odbywa się tak samo jak *lunch*. Co większa, przy obiedzie niema kapitana, co poczytują za zły znak. Jakoż przy czarnej kawie wyraz: *Storm! storm!* (burza! burza!) rozlega się po całym salonie, na korytarzach i w kajutach. Burza istotnie rozpoczyna się. Mimo mego godnego politowania stanu, chcę ją widzieć, i ubrawszy się w gumowy płaszcz z kapturem, wychodzę na pokład, a raczej wylazę na czworakach. Wicher jest tak silny, że trzymając się obiema rękoma poręczy, zaledwie mogę ustać na nogach. Chwilami woda oblewa mnie od stóp do głowy. Morze zdaje się być pomieszone z chmurami, chmury z morzem. Patrząc na to nie mogę opędzić się myśli, że Ocean się wściekł. Ale właśnie ta jego wściekłość ślepa i głupia budzi ku niemu rodzaj pogardy. Huczy, ryczy, ciska się, opluwa niebo pianą, miesza się z powietrzem, słowem: szaleje. Nie przystoi to ani jego ogromowi, ani majestatowi, tem bardziej że złość ta wydaje się nie mieć żadnej przyczyny. Wściekł się i kwita, tak, jak wpada czasem bez powodu w szaleństwo słoń. To wyuzdanie się ślepych sił, ta przemoc brutalna skierowana przeciw statkowi, który w porównaniu jest atomem, budzi w tobie chęć oporu i gniew. Chciałbyś zaciąć zęby, chwycić w rękę topór i z iskrzącym wzrokiem czekać na tę olbrzymią hałastrę wiatrów, piany, fal, wściekłości, zaślepienia, ryczącej orgji i przemocy. Postępek Kserksesa<sup>12</sup>, który kazał wychłostać fale, wydaje się wówczas zrozumiałym. Zwierzę potrzebuje bata. Jeżeli tylko nie jesteś z natury tchórzem ostatniego rzędu, mówisz wówczas Oceanowi: „Rycz, wyj, wściekaj się — drwię z ciebie!” Jest w tem wszystkim nawet pewna rozkosz, bo wobec podobnych uczuć największa nawet wściekłość staje się bezsilną.

O północy burza doszła do swego najwyższego stopnia. Statek prawie nie płynął naprzód, ale rzucał się tylko od chmur w przepaść i odwrotnie. Nie było już widać nic prócz chaotycznej i wściekłej mieszaniny nieba, wody, powietrza, wichru i ciemności. Wiatr uderzał czasem jak młotem, czasem zakręcał jak szwidrem, słowem: pastwił się nad falami i statkiem. Tumany kropel wodnych uderzały co czas jakiś o moją twarz i kręciły się w powietrzu, jakby słupy dymu. Ogromne masy wody wpadały co chwila na pokład lub przelatwały przezeń na drugą stronę. Musiałem się trzymać ze wszystkich sił, aby nie być splókanym.

Nagle spostrzegłem, że ktoś stoi koło mnie, również w gumowym płaszczu i kapturze. Był to mój towarzysz. Próbowaliśmy mówić, ale niepodobna było ust otworzyć, wiatr bowiem wbijał nam napowrót aż w gardło słowa. Pasażerowie wszyscy pochowali się w kajutach, tak, że na pokładzie byli tylko majtkowie.

Cała załoga, prócz palaczy, była na górze. Majtkowie to ciągnęli liny, to czepiali się drabin, to związywali nowemi sznurami żagle, biegając, krzycząc, klnąc, lub powtarzając swoje żaloszne: „Ooo-ho!” W ciemnościach, wśród wichru i huku fal, rozlegały się ostre głosy świstawek miczmanów, które dla majtków są słowami komendy. Głosy te nie ustawały ani chwili. Walka w takich razach trwa dopóty, dopóki burza nie zmęczy się, nie wydmucha, nie wypłuje wszystkiej piany, nie ochrypnie i nie uzna się za zwyciężoną.

Koło godziny pierwszej po północy zesłaliśmy wreszcie nadół, zmienili odzież i bieliznę, przemoczoną mimo gumowych płaszczów do nitki, następnie rozebraliśmy się i położyli spać. Ale cała noc była niespokojna. Chwilami trzeba się było trzymać, żeby nie wylecieć z szuffady. Statek kołysał się tak, że leżąc w łóżkach, niekiedy znajdowaliśmy się w pozycji stojącej: dobrze, gdy na nogach, gorzej gdy na głowie. Futro, wiszące na przeciwległej ścianie od mojego łóżka, nagle spostrzegłem wiszące wprost nade mną. Kuferki nasze i buty latały po całej podłodze i po ścianach, bijąc z łoskotem w przepierzenia. Torby podróżne, zawieszane na hakach, wiły się w powietrzu, jakby je ktoś okręcał.

Około drugiej, w kajutach leżących bliżej schodów, rozległ się krzyk. Sądziłem, że stał się jakiś wypadek, tem bardziej, że w tej samej chwili usłyszałem wodę płynącą z szelstem w wewnętrznym korytarzu. Rozbudzili się wszyscy; okrzyk: „Woda! woda!” zabrzmiał w całym wnętrzu statku; kobiety poczęły wrzeszczeć na różne tony lub biegać po korytarzach w kostjumach, których prostoty najprostszy opis nie byłby w stanie oddać. Wreszcie nadszedł młody miczman, cały mokry, z twarzą zarumienioną walką, i oświad-

<sup>12</sup>Kserkses — król perski z V w. p. Chr., słynny przez swe wielkie wojny z Grecją. [przypis autorski]

czył damom, że woda nader zwyczajnym sposobem dostała się przez schody na korytarz, i że niema żadnego niebezpieczeństwa.

Nazajutrz z rana morze jeszcze było wzburzone, ale wiatr już ustał, koło południa zaś uciszyło się i morze. Mnóstwo osób przyszło na *lunch*. Żartowano i śmiano się z wczorajszego przestrachu. Opowiadano przytem zabawne dykteryjki o różnych psotach, jakich w czasie nocy narobiła burza. Oto przepierzenia, rozdzielające kajuty nie dochodzą do samej podłogi, mnóstwo więc drobniejszych rzeczy przesunęło się skutkiem kołysania się gwałtownego statku, z jednych kajut do drugich.

Pogoda i spokojne morze dziwnie wpływają na wesoły humor podróżnych. Spostrzegam mnóstwo osób, których nie widziałem dotąd wcale. Ubiory kobiet są staranniejsze niż kiedykolwiek. Po *lunchu* i czarnej kawie następuje przechadzka na pokładzie; znajomości robią się łatwo. Małe ploteczki krążą z ust do ust. Chwilami zdaje mi się, że jestem gdzieś na wodach zagranicznych; gdyby zaś nie język angielski, i gdyby nie brak podziału na arystokrację i demokrację, sądziłbym, że się przechadzam na szczawnickim deptaku lub pod ciechocińskimi tężniami.

Ale podziału na arystokrację i demokrację niema, towarzystwo bowiem jest przeważnie amerykańskie. Jakkolwiek towarzystwo to składa się z ludzi, którzy podróżowali po Europie, zatem bogatszych i ogładzonych, ogłada ich jednak nietylko nie wyrównywa europejskiej, ale nie odpowiada nader skromnym wymaganiom. Do stołu niektórzy z tych panów siadają w czapkach; pewien dżentlema, siedzący naprzeciw konsulowej francuskiej z San Francisco, codziennie pod koniec obiadu zdejmuje buty, oświadczając z całą dobrą wiarą, że tak mu jest wygodniej, i namawiając innych, aby poszli w jego ślady. Po obiedzie niektórzy z podróżnych zajmują się czytaniem pism ilustrowanych i nie czytają ich nigdy inaczej, niż z nogami pozakładanymi na stół. Amerykanie wogóle przedstawiają się szorstko, nawet twarze ich, o rysach grubych, pospolitych i gminnych, zdradzają od razu brak tego poluru i wykwińności, która uprzyjemnia życie towarzyskie i czyni miłe stosunki nawet między ludźmi nieznanymi sobie nawzajem.

Bardzo niewiele osób mówi po francusku, te zaś, które nawet mówią, gryzą francuskie wyrazy, jak twarde orzechy, i można powiedzieć, że nie wymawiają ich, ale wypluwają raczej, jak coś bardzo niesmacznego. Otello i piękna Desdemona wracają wprost z Paryża, w którym przepędzili miodowe miesiące, dlatego oboje najwięcej mają dystynkcji i są najrozmowniejsi. Mamy prócz tego wiele innych ciekawych typów. Prócz doktora z St. Louis, z Missouri, który jest kłamacą pierwszej wody, i mego sąsiada, obiadowego kapitana, który po dawnemu pochłania przy każdym daniu nieprawdopodobne ilości pokarmów, uwagę moją zwróciła pewna para kwakerska. Oboje są chudzi, milczący, posepni, starzy. Jego twarz o zapadłych policzkach i wytrzeszczonych, jakby z powodu solitera oczach, jest typem twarzy hipokryty i łakomcy; ona ma fizjognomię kwaśnej dewotki, wodzącej męża za nos i patrzącej na wszystko, co jest młodością, wiosną, uśmiechem i wesołością, ze stanowiska ogniów czyścowych.

Pod koniec obiadu, kiedy podają słodczyce, oczy biednego kwakra przybierają wyraz nieopisanej pożądliwości, a na twarz występują mu rumieńce. Radby jeść kompot, a nie chciałby iść do piekła, jednakże kręci się; łyżeczka w jego ręce drga niespokojnie i nieszczęśliwy pożądliwym wzrokiem odprowadza każdą śliwkę, którą skazany na potępieniu wiekuiste sąsiad jego niesie do ust; słowem: cierpi męki Tantara. Żona pogląda wówczas na niego złośliwie i słodkim głosem mówi ze wspaniałą ironją: „Pozwól sobie, dlaczegoś nie miał sobie pozwolić? Zjedz śliwkę, a o resztę nie dbaj!” Biedaczysko wzdycha i kładzie łyżeczkę na swoim miejscu.

Wśród podobnych spostrzeżeń i dopatrywań śmiesznych stron w moich sąsiadach, upływa mi dzień za dniem. Wkońcu jednak podróż zaczyna mnie nudzić. Dzień podobny jest do dnia jak rodzeni bracia: brekfest, przechadzka na pokładzie; lunch, przechadzka po pokładzie; obiad, przechadzka na pokładzie, a potem spać. Zresztą wiecznie ten sam widok: ogromne, zielonawe bałwany i przestrzeń pusta, na której krańcach gubi się wzrok; wiecznie te same kilkanaście mew za okrętem i żałosne „Ooo — ho!” majtków, zwijających lub rozpinających żagle. Nadchodzi niedziela, ale jest jeszcze nudniejsza, niż dni poprzednie. Po śniadaniu stewardowie przynoszą kilkadziesiąt egzemplarzy Biblii i kładą je na stołach, Amerykanie zaś siadają i czytają ją, myśląc o czem innym i ziewając. Wszyscy są poważni i milczący, ale więcej jest w tem sztuczności i rutyny, niż prawdziwego



nabożeństwa. Po skończonych modlitwach zakładają nogi na stół i siedzą w milczeniu, jak chińskie lalki.

Po południu zdarza się jednak wypadek, który jak iskra elektryczna wstrząsa wszystkich. Oto na widnokręgu zjawia się okręt. Nic to wielkiego napozór, ale wśród nudów i jednostajności, jest to prawdziwa uczta dla instynktów gapiostwa, drzemiących w każdej naturze ludzkiej. Wszyscy cisną się na pokład; patrzą to przez lunety, to przez szkła teatralne, to gołemi oczyma. Wszędzie pytania, odpowiedzi i sprzeczki: „To jeden z Cunarów — To Alan! — Nie! to Somerja! — Alan! — Somerja! — Trzeba nie mieć oczu, żeby nie widzieć, że to Alan! — Dziwię się, jak można za Alana brać Somerję! — Zakład! — Zakład!” Powstają więc i zakłady. Wytrzeszczam oczy, ale oprócz dwóch słupów dymu nie widzę nic więcej. Nasz statek wywiesza dwie chorągwie: jedną flagę angielską, drugą *White Star*, to jest białą gwiazdę na czerwonym polu. Dwa słupy dymu zbliżają się coraz bardziej, wreszcie dostrzegam potężny biało malowany parowiec, wspinający się dzielnie na grzbiety fal i znaczący swą drogę srebrnym zapienionym szlakiem. Po chwili jednak statek przechodzi, zmniejsza się: oto wydaje się już jak łódka i wreszcie rozplywa się w sinej dali.

W nocy z niedzieli na poniedziałek mieliśmy znów burzę, lubo nikt o niej nie wiedział, wszyscy bowiem spaliśmy doskonale, ani domyślając się, że braknie trzy ćwierci do śmierci. Wicher przygnał z północy dwie góry lodowe, które wzięwszy statek między siebie, płynęły jak dwa piekielne psy, tuż koło niego, grożąc mu w każdej chwili zgnieceniem na miazgę. Kapitan kazał popuszczać żagle, zgasić ogień w maszynie i zdał statek na wodę<sup>13</sup> fal i wiatru. To jedno ocaliło nam życie, bo od tej chwili statek, miotany temi samymi co i lodowe góry falami, nie zbliżał się już do nich. Świtaniem dopiero, gdy ucichło trochę morze, puścił się całą siłą pary i potwory piekielne zostawił w tyle.

— Co to było? Co to było? — pytano nazajutrz rano na okręcie.

— To była śmierć — odpowiadał kapitan Kennedy głaszcząc ręką podobną do wielkiej warząchwi szpakowaty podbródek.

Niektóre damy chciały mdleć, jak gdyby miały ochotę wynagrodzić sobie dobrą sposobność, która już minęła. Kapitan wyrósł w naszych oczach na prawdziwego bohatera, i odtąd też nie traktowano go inaczej, chociaż poczciwy ten marynarz, pełen prostoty, ani rusz nie chciał i nie umiał się zgodzić na tak wysokiego polotu rolę. Trzeba jeszcze oddać sprawiedliwość, tak kapitanowi, jak oficerom i całej załodze, że są to ludzie dzielni, znający swoją służbę i swoje obowiązki nawyloc, a przytem karni, spokojni i dla podróżnych uprzejmi bez granic.

„Germanicus” jest przy tym jednym z najszybszych okrętów, jakie przebiegają drogę między Liwerpoolem a New-Yorkiem. Jesteśmy z tego dumni, a ów patriotyzm *White-Star* staje się między nami coraz wybitniejszym, jak gdybyśmy należeli do akcjonariuszów tej linii. Drwić sobie z Cunarów należy do dobrego tonu. O wszelkich innych liniach wyrażamy się z politowaniem. Codziennie rano mnóstwo osób ciśnie się do tablicy, na której jeden z oficerów oznacza liczbę mil przebytych ubiegłej doby i zarazem oznacza ją linią na morskiej mapie. Nie płyniemy jednak tak szybko, jak to „Germanicus” umie, bo czas ciągle jest zły i żagle rzadko mogą pomagać parze. Podróż staje się coraz nudniejszą, jednakże mewy lecące za okrętem, których ilość coraz się zwiększa, oznaczają, że zbliżamy się do lądu. Istotnie, jesteśmy na wysokości ławy piaszczystej, otaczającej New-Foundland, ale brzegów z okrętu nie widać. Po całych dniach wpatruję się z pomostu w morze; mówią bowiem, że w tych okolicach można dostrzec czasem wieloryby. Fale jednak wydają się puste i niezamieszkałe. Raz tylko potworna jakaś głowa wychyla się na chwilę z wody, ale niknie, nim mogę poznać, do jakiego stworzenia należy.

Szóstego dnia mamy na okręcie koncert. Pogoda jest śliczna; przez grube soczewki szklane, stanowiące okna okrętu, wnikają czerwone promienie słońca. Koncert rozpoczyna mówka jakiegoś ogromnego dżentlemana z twarzą jowialną, który z niezachwianą powagą staje obok pianina i mówi:

— *Ladies and gentlemen*<sup>14</sup>. Usłyszycie za chwilę jedną z najznakomitszych artystek na świecie: Miss N. Jeżeli nie słyszeliście o niej dotąd, to tylko dlatego, że jej skromność jest

<sup>13</sup>wolę. [przypis redakcyjny]

<sup>14</sup>*Ladies and gentlemen* — Panie i panowie! (ang.). [przypis autorski]

równie wielką jak talent. Ameryka jednak chlubi się nią, Europa zgrzyta zębami z ządności. Dlatego radzę wam, żebyście cali pozamieniali się w tej chwili w uszy. Miss N. wykona etjudę, skomponowaną przez bardzo znakomitego dżentlemana Szopena. Słuchajcie! słuchajcie!

Miss siada do fortepianu i poczyną do tego stopnia fałszować Szopena, że nasze polskie uszy literalnie wędną; potem następuje grzmot oklasków, mówca zaś wstaje i mówi znowu:

— *Ladies and gentlemen!* Wiadomo wam, ile szkody w naszych zapasach żywności i kufrach robią niegodziwe szczury i myszy. Ale nadeszła godzina zemsty: oto jest najznakomitszy w świecie tenor, M. Charli, który nieporównanym głosem swym wnet je tu wszystkie wystraszy. Zapewniam was, że każdy szczur stokroć razy będzie wołał się rzucić w nurty Oceanu, niż słuchać tej melodji, którą będziemy się zachwycać za chwilę.

Nowy grzmot oklasków kończy przemówienie naszego oratora. Dają się słyszeć okrzyki: „Hip! hip!” M. Charli staje obok akompanijującej miss i poczyną śpiewać włoską pieśń: *O fanciulla mia!*<sup>15</sup>, którą gdyby usłyszał jaki Włoch, dostałby niezawodnie pomieszania zmysłów. Trudno mi opisać i wypowiedzieć, jak mało zdolności muzycznych posiada anglosaksońska rasa. Między kilkunastu śpiewakami i śpiewaczkami nie słyszałem ani jednego głosu, któregooby można słuchać bez zgrzytania zębami. Amerykanie byli jednak nadzwyczaj zadowoleni z siebie i ze swoich talentów. Pytali nas nawet z pewną dumą: czy słyszeliśmy coś podobnego w Europie? ja zaś odpowiadałem z całą szczerością, że istotnie nic podobnego w Europie nie słyszałem.

Szósty ów dzień był dniem uroczystości na okręcie, po koncercie bowiem nastąpił obiad z najrozmaitszymi toastami. Między innymi mówca koncertowy wniósł bardzo uroczysty toast na cześć kapitana Kennedego. Mówca przypomniał, że winniśmy życie nasze i spokój naszych rodzin dzielnemu kapitanowi; gdyby nie on bowiem, góry lodowe pograżyłyby nas niezawodnie w otchłań morską, poczem porównał Bogu duszę winnego kapitana do rozmaitych bohaterów starożytności, a wkońcu wyraził opinię, że zgromadzone lady i dżentelmenowie uznają zapewne za słuszne i sprawiedliwe wykrzyknąć po trzykroć na cześć naszego kapitana: „Hip! hip! hurra!” Zgromadzone lady i dżentelmenowie uznali to za słuszne i przyzwoite, poczem nastąpiły okrzyki tak przeraźliwe, jak gdyby na statku zdarzył się pożar.

Pocziwego kapitana toast ten zaskoczył nader niespodziewanie, w tej chwili właśnie zapychał usta olbrzymim kawałkiem rumsteku; nim więc przestraszony rozum jego zdołał pojąć wszystkie owe porównania do starożytnych bohaterów i stanąć na wysokości położenia, trzeba było przedewszystkiem skończyć raz z rumstkiem i połknąć go choćby za jakąkolwiek cenę. Biedny więc bohater starożytności sponsował, oczy wyszły mu z orbit, rumstek utknął w gardle: wreszcie, jeszcze z zapełnionymi ustami, oświadczył, że mu jest tak przyjemnie, jak gdyby wypił szklanekę groku, że dziękuje wszystkim zgromadzonym, że przeprasza, jeżeli rumstek był twardy, ale że „kanalje kucharze musieli się upić” etc. etc.

Po tej wykwińskiej mowie zanucono jeszcze pieśń narodową angielską: „Boże, zachowaj królową!” — co było dowodem wielkiej uprzejmości ze strony Amerykanów, i obiad się skończył. Nazajutrz z rana dowiedzieliśmy się z tablicy, że tego jeszcze dnia przybijemy do lądu. Na całym okręcie panowała nieklamana radość. Jakoż wszystko zwiastowało bliskość ziemi. Majtkowie przywdziali nowe kaftany. Okręt cały wymyto starannie, każda jego śrubka błyszczała w słońcu jak złota. Za masztami ulatywały całe stada mew, piszcząc i przewracając w powietrzu koziołki. Spotykamy coraz więcej okrętów: wielkie parowce, statki żaglowe, łodzie rybackie przesuwają się po cichem i przezroczystem zwierciadle wód, odbijając się w niem z masztami i żaglami. Ostro i zimny wiatr, który nieustannie dął na Oceanie, ucichł zupełnie, a twarze nasze całuje teraz słodki i ciepły oddech wiosenny. Woda jest srebrna, powietrze srebrne, spokój i słodycz rozlane wszędzie. Nakoniec, na zachodnim krańcu widnokręgu, zjawia się wydłużona sinawa chmurka.

— Ląd! ląd! — wołają wszyscy.

Jakoż po małej chwili na tle owej chmurki poczynają się rysować zielone i żółte piaszczyste wybrzeża, lasy masztów, spiętrzone dachy domów, spiczaste wieże kościelne, białe

<sup>15</sup>*O fanciulla mia!* — O umiłowanie moje (wł.). [przypis autorski]

mury: słowem, śliczne miasto, jak ongiś Wenus, wynurzało się z morskiej kąpeli coraz dokładniej i coraz wyraźniej dla oka. Bywalcy odróżniają już New-York i Hoboken. Wpływamy do portu. Pogoda ciągle równie śliczna; przysiągłbym, że przybyliśmy do kraju wiecznej wiosny. Na gładkiej toni czerwone beczki, oznaczające mielizny, kołyszą się, poruszane leciuchnym powiewem. Statek nasz wywiesza znowu potężną flagę angielską i swoją własną, poczem zwalnia biegu i zaledwie sunie się po falach.

Tymczasem od małej wysepki, obok której przepływamy cicho, odrywa się mały jak lupina orzecha parowiec, na którym jedzie dwóch dżentlemenów i trzeci, może ośmioletni, siedzący tuż obok komina na dachu kajuty. Są to lekarze z kwarantanny. Statek nasz staje. Spuszczają im drabinę, po której lekarze wchodzi pomiędzy nas, a tymczasem małaletni dżentlemen pokazuje nam z dołu język, i wywiesiwszy go aż po brodę, trzyma tak z pół godziny. Następnie przewraca się na grzbiet, chwytając rękoma za palce u nóg i pozostaje w tej ultrademokratycznej pozycji przez cały czas rewizji.

Rewizja nie trwa jednak długo, bo na statku niema nikogo chorego. Lekarze zamieniają parę słów z kapitanem i okrętowym doktorem, potem wykrzykują: *All right!*<sup>16</sup> i odpływają napowrót, my zaś ruszamy dalej. Ale po małej chwili znowu: stój! Teraz komora. Przybywa nowy parowiec, również z dwoma dżentlemenami, ubranymi po cywilnemu, ale ze srebrnymi blaszkami na piersiach. Są to celnicy. Obaj mają twarze skończonych rzeźmieszków; ubrani są przytem w wytarte surduty, brudną bieliznę i pogniecione kapelusze. Młodszy z nich, o popielatej cerze, kręconych blond włosach, siwych oczach, z których jedno jest szklane i osadzone na skówdce, sterczącej mu w kącie oczowym koło nosa, ma minę takiego drapichrosta, że nie powierzyłbym mu dziesięciu centów. Dżentlemani ci schodzą do salonu i rozdają podróżnym kartki, czyli drukowane deklaracje, na których ci ostatni się podpisują. Kto się podpisze, ten tem samem składa przysięgę, że nie wiezie nic zakazanego, rewidują go też potem w porcie bardzo lekko, ale jeżeli co znajdą karzą bardzo surowo. Gdy przyszła na nas kolej, drapichróst ze skówdką w oku podaje memu towarzyszowi kartkę i pyta go o nazwisko.

— Nazywam się tak a tak! — odpowiada mój towarzysz.

— Jak? jak? — woła, śmiejąc się drapichróst — Tschchpischouschki?

Co to jest? Obecni Amerykanie wybuchają grubjańskim śmiechem, co nigdy nie zdarzyłoby się w żadnym ucywilizowanym kraju. Porywa nas obydwóch złość.

— Czego te nieucywilizowane zwierzęta pokazują zęby — woła do mnie głośno po francusku mój towarzysz.

Niektórzy Amerykanie, którzy zrozumieli powyższe słowa, poczynają się wstydzić i wymyślać swoim współziomkom, towarzysz mój zaś zwraca się do nich i pyta, pokazując palcem na zmieszanego drapichrosta:

— Jak się nazywa to indywiduum?

— *Your name?*<sup>17</sup> — wołają na niego — *your name?*

Odpowiada: „Thrysley”, czy coś podobnego.

— Dobrze więc — mówi mój towarzysz — powiedzcie temu frantowi, że gdyby w Europie kota ktoś tak nazwał, toby trzy dni miauczał.

— *All right! all right!* — wołają uradowani obecni.

Wkrótce potem zbliżył się ku nam jakiś poważny dżentlemen o siwiejącej brodzie i oliwkowej cerze i oświadczył nam, że jeśli chcemy, to on postara się przez swoje stosunki, aby owego grubjańskiego celnika wypędzono. Nie żądaliśmy tego wcale, oświadczyliśmy jednak swoje zdziwienie, że w kraju, mającym pretensję do cywilizacji, mogą się tak ludzie zachowywać.

— Cóż panowie chcecie? — odpowiedział dżentlemen. — Pod względem uobyczenia, nawet wyższe nasze klasy zostają daleko jeszcze za Europą. Zresztą od czasu jak republikanie z naszym kochanym prezydentem utrzymują się przy władzy, wszystkie posady urzędowe obejmują podobne indywidua, które raczej powinny siedzieć za kratą. Mamy jednak nadzieję, że to się wkrótce zmieni.

Tymczasem wpłynęliśmy do bloku, w który okręt nasz wsunął się, jak w pochwę, i wysiedliśmy do wielkiego drewnianego budynku, w którym sprawdzają deklaracje, czy-

<sup>16</sup>*All right!* — Doskonale! (ang.). [przypis autorski]

<sup>17</sup>*Your name?* — Pańskie nazwisko?. [przypis autorski]

li rewidują rzeczy. Nowy jakiś celnik zbliżył się do nas i chciał otwierać nasze kufry, ale uwolniliśmy się od tego tak, jak widzieliśmy, że uwalniają się wszyscy, to jest zapomocą dwóch dolarów wsuniętych w rękę celnika. Wolny amerykański obywatel nie tylko przyjął łapówkę, ale pomógł jeszcze włożyć nasze rzeczy na fiakra; słowem, w tym kraju obywatelska prawda i cnota okazały się zaraz na wstępie dobrą względem dolara koczotką. Ale indykowi wszystko jedno, z jakim sosem ma być upieczony, gdy zaś zapytany o to, odpowiedział, że wcale sobie nie życzy być upieczony; odpowiedziano mu kwaśno: „Wychodzisz z kwestji”. Otóż nie chcę naśladować tego indyka i ażeby nie wychodzić z kwestji, powiem tylko, że zaraz na drugim kroku w New-Yorku obdarł nas woźnica; dalszemi zaś miały się opiekować hotele.

Miasto, które na pierwszy rzut oka z morza zarysowało się tak majestatycznie i wdzięcznie, widziane zbliżając się nie zachwyciło mnie wcale. Pobrzeże portu brudne, między drewnianymi budynkami niemasz bruków; wszędzie leżą kupy śmieci, doki drewniane połyskują brudną wodą, ludność zaś, jak zwykle ludność portowa, wygląda jakby przed chwilą urwała się od szubienicy. Takie było pierwsze moje wrażenie, ale zaledwie zdążyłem rzucić naokół okiem, fiaker potoczył się ulicą. Ściemniało się. Wjechaliśmy na sławną Broadway: wystawy sklepowe były luną gazowego światła, czarna i biała ludność toczyła się na chodnikach, szeregi latarni ginęły w oddaleniu. Wreszcie fiaker stanął, wysiedliśmy i po chwili znaleźliśmy się w białym marmurowym przedsionku hotelu, ubranym w kwiaty, dywany, jaśniejącym tysiącami świateł. Tu mieliśmy zatrzymać się kilka dni, ażeby odpocząć i nabrać sił do nowej podróży, której kres miał być aż u fal Oceanu Spokojnego.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/na-oceanie-atlantyckim>

Tekst opracowany na podstawie: Henryk Sienkiewicz, *Na Oceanie Atlantyckim* (Listy z podróży), wydanie IV, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1935.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0893-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).